GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1934
NR. 1 ROK IV

Wm. Senatorska 15
rT. rolnictwo

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 1
1934 R.
1 — 1

KOMITET REDAKCYJNY: CZESŁAW BOBROWSKI, Dr. STEFAN BUCZKOWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, BOHDAN ŁĄCZKOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, STEFAN MEYER, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI.



TRZY LATA

Trzy lata. Mamy na myśli trzy lata istnienia Gospodarki Narodowej. Właściwie do trzechlecia brak naszemu wydawnictwu kilku jeszcze miesięcy, przystosowaliśmy się jednak do powszechnie przyjętego zwyczaju i traktujemy noworoczny numer naszego pisma jako zamknięcie jednego, a rozpoczęcie następnego etapu pracy. Tak, jak w dwu poprzednich numerach noworocznych pragniemy ten nowy etap rozpocząć od retrospekcji z jednej, a od zapoznania czytelników z naszemi dalszemi projektami z drugiej strony. Innemi słowy zamiast komentarza do zjawisk z dziedziny myśli i rzeczywistości gospodarczej, jaki zazwyczaj znajduje się na tem miejscu naszego pisma, pragniemy dać komentarz do tych komentarzy.

Niejednokrotnie stwierdzaliśmy, że tem co nas łączy jest raczej jednolita metoda podejścia do zagadnień, niż ich pozytywne rozwiązanie, raczej wspólne poszukiwanie programowych dróg dla gospodarki polskiej, niż ich pozytywne wytyczenie. Słowem, stwierdzaliśmy, iż naszem własnem zdaniem jesteśmy dopiero na początku drogi, którą wypadnie nam przejść. Czy pod tym kątem możemy w dorobku ostatniego roku zarejestrować kroki naprzód? Sądzimy, że tak.

Nie staraliśmy się bynajmniej odbierać naszemu pismu charakteru dyskusyjnego, który posiadało od początku. Tem niemniej zapewne większość naszych czytelników stwierdzić musiała, że w porównaniu z latami ubiegłemi, zakres zagadnień, poddawanych dyskusji uległ zwężeniu i, że równolegle z tem, w kilku przynajmniej doniosłych punktach wykazaliśmy jednolitość linji. Cenimy swobodę myślenia, w niej widząc jedną z racyj bytu Gospodarki Narodowej. Nie zamierzamy bynajmniej narzucać samym sobie i naszym towarzyszom pracy sztucznie ukutych, sztywnych formuł. Natomiast za uwieńczenie pracy myślowej, której ośrodkiem jest dla nas Gospodarka Narodowa, uważamy konsolidację jakiegoś poglądu. Nie oznacza to, ażebyśmy w zakresie danych zagadnień byli absolutnie co do joty zgodni między sobą. Natomiast zgodni jesteśmy pod względem zasadniczej postawy w danej sprawie. W gruncie rzeczy jest to jedna i ta sama postawa w szeregu spraw. Jeśli czytelnik zechce zajrzeć do pierwszego zeszłorocznego numeru Gospodarki, to znajdzie tam bardzo zresztą sumaryczne określenie tej postawy. Powtarzamy je dziś innemi, krótszemi jeszcze słowy: poza wszelkiem rozumowaniem ekonomicznem stoją zawsze mniej lub więcej wyraźne tendencje poza-gospodarcze, mniej lub więcej skrystalizowany światopogląd polityczno-społeczny. Nie reprezentujemy określonego programu politycznego. Natomiast świadomi jesteśmy konieczności i nieuchronności podporządkowania w wielu wypadkach wartościowania czysto ekonomicznego (w sensie jaki temu słowu nadała szkoła liberalna) wartościowaniu pod innym kątem, pod kątem interesów zbiorowości, losów narodu. Z tego założenia biorą punkt wyjścia stanowiska, które zajęliśmy w kilku zasadniczych sprawach, a które chcemy pokrótce omówić. Z jednem wszelako zastrzeżeniem, na które pragniemy zwrócić uwagę czytelnika. Jeśli bowiem wartościowanie nasze

wykracza poza wartościowanie liberała ekonomicznego, to nie znaczy to bynajmniej, ażebyśmy w samej analizie, w samych rozważaniach ekonomicznych mieli i chcieli przeciwstawiać się z reguły i zasady metodom myślenia szkoły liberalnej. Przeciwnie, sądzimy, że jako metoda analizy (nie wartościowania) ekonomja klasyczna przy całej być może niedoskonałości na obecnym etapie jej rozwoju jest aparaturą nie do zastąpienia.

Wspomniany punkt wyjścia — interes zbiorowości, jako suprema lex — zaciążył na naszem podejściu do czołowych zagadnień doby ostatniej. Do tych zagadnień zaliczamy rzecz prosta problem tak zwanej walki z kryzysem. Wydaje się nam, że w tej dziedzinie stanowisko nasze nacechowane było wprawdzie nie zupełną jednolitością, ale obracaniem się w pewnych nie przekraczalnych ramach. Aczkolwiek odnośnie tak ważnego odcinka polityki kryzysowej, jakim jest polityka walutowa i pieniężna, zaznaczyły się znaczne odrębności stanowisk, ale i w polemice na ten temat wspomniane ramy nie zostały przekroczone. Te ramy, to przekonanie, że polityka kryzysowa w żadnym razie nie powinna iść po linji doraźnych efektów, mogących zaciążyć ujemnie na dalszym rozwoju gospodarstwa narodowego. Te ramy to podporządkowanie polityki na krótką metę polityce na dłuższą falę. Podobnie też przy analizie obecnego stanu polskiej rzeczywistości gospodarczej, który jest przecież rezultatem interferencji fali konjunkturalnej z szeregiem trwalszych niedomagań organizacji i polityki gospodarczej, zainteresowania nasze zwróciły się przedewszystkiem w kierunku analizowania nie-konjunkturalnych niedomagań rzeczywistości gospodarczej. Nie wymaga to chyba wyjaśnień. Jeżeli bowiem podchodzi się do zagadnień gospodarczych z punktu widzenia interesów zbiorowości, losów narodu, to niesposób ograniczać się do perspektywy paromiesięcznej, czy nawet paroletniej.

Z pośród problemów szczególnie często omawianych w pierwszych dwu latach istnienia „Gospodarki“, a które w roku ubiegłym rzadziej pojawiały się na naszych łamach, wymienić należy kompleks zagadnień, związanych ze sprawą ustroju gospodarczego, „końca kapitalizmu“, gospodarki planowej, interwencjonizmu i t. d. Musimy stwierdzić, że niema w tym przypadku, aczkolwiek nie sądzimy, ażeby sprawy te straciły na znaczeniu. Byliśmy natomiast zdania, iż wskazane jest przeniesienie dyskusji ustrojowej na inną, specjalną płaszczyznę. W zasadzie każdy ustrój jest możliwy, — niemożliwe jest zato w sposób teoretyczny i niesporny ustalić, który ustrój jest nabardziej efektywny. Wolno conajwyżej mniemać, że będzie to bądź ten, który zapewnia maksimum automatyzmu, bądź ten, który opiera się o konsekwentnie zbudowaną planowość. Wybór stanowiska w tej sprawie uzależniony jest jednak nie od samych tylko poglądów gospodarczych, a nawet społeczno-politycznych, ale również i od filozoficznego punktu widzenia, od takiej lub innej oceny możliwości umysłu ludzkiego. Przemiany ustroju gospodarczego dokonywują się zresztą pod tak przemożnym wpływem ruchów socjalnych, narodowych, a nawet zjawisk o charakterze wręcz iracjonalnym, że niesposób jest traktować zagadnienie ustroju gospodarczego w płaszczyźnie rozumowania czysto gospodarczego. Natomiast czysto gospodarczy charakter nosi kwestja zapewnienia danemu, temu czy innemu ustrojowi maksimum sprawności, maksimum efektywności. Ta kwestja posiada przytem przewagę bezpośredniej, natychmiastowej donioslości praktycznej. I dlatego właśnie nie wyrzekając się omawiania zasadniczej strony problemu ustrojowego, sądziliśmy, że z punktu widzenia realnych interesów zbiorowości polskiej na plan pierwszy wysunąć należy kwestję sprawności danego ustroju, tego ustroju, w którym żyjemy, a przedewszystkiem kwestję zabezpieczenia tej sprawności w związku z powolnym procesem przemian ustrojowych, których jesteśmy świadkami.

Chcielibyśmy zwrócić uwagę na jeden jeszcze moment. Pojęciem interesu zbiorowego nie operujemy bynajmniej jako synonimem naiwnego, uproszczonego solidaryzmu. Zdajemy sobie sprawę z tego, że wewnątrz zbiorowości, narówni z interesami wspólnymi istnieją interesy rozbieżne. W wielu wypadkach podkreślaliśmy te interesy rozbieżne, gdy tendencja do pomijania ich groziła wypaczeniem rzeczywistego obrazu danej gałęzi gospodarki narodowej. Nie sądzimy również, ażeby interes zbiorowości był sui generis mechaniczną, arytmetyczną wypadkową poszczególnych interesów grupowych. Przeciwnie — jesteśmy zdania, że pojęcie interesu ogólnego dostarcza nam podstawy do ważenia interesów grupowych, do ustalenia „współczynnika“ jaki do nich stosować należy. Nie miejsce tu na szczegółowe wyjaśnianie stanowiska. Przykłady znajdzie czytelnik w roczniku Gospodarki, czy to wtedy, kiedy omawialiśmy zagadnienia polityki społecznej, stając na stanowisku, że pojęcie opieki społecznej pojmować dziś należy nie jako wyraz walki pewnej grupy o swoje prawa, a jako wyraz ciążącego na zbiorowości obowiązku troski o olbrzymi odłam społeczeństwa, czy to wte-

dy, kiedy staraliśmy się na tle ogólnego obrazu interesów rolnictwa wyodrębnić interesy specjalne drobnej własności rolnej. I w tych i w innych wypadkach kierowała nami ta sama troska: zapobieżenie temu, ażeby wypadkowa naszej polityki kształtować się miała pod przemożnym wpływem tych interesów, które nie będąc z ogólnego punktu widzenia najdonioślejszemi, dysponują największemi środkami wpływu na kształtowanie się tej wypadkowej. Jednem z zadań, wynikających z pojęcia interesu zbiorowego jest dla nas uwypuklenie tych grup interesów, które są niedostatecznie silnie reprezentowane w walce o wpływy na bieg naszego życia gospodarczego: danie głosu *„wielkim niemowom"*.

STEFAN BUCZKOWSKI

OGRANICZONA ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Twórczość ustawodawcza nie powinna schodzić z gruntu rzeczywistości gospodarczej.

U końca płodnego bardzo w tym roku okresu pełnomocnictw ustawodawczych Prezydenta Rzplitej, zostały ogłoszone trzy doniosłe kodyfikacje, stanowiące jakby Magnam Chartam działalności gospodarczej; kodeks zobowiązań, kodeks handlowy i prawo o spółkach z ogr. odp. Tym sposobem uzyskaliśmy już prawie kompletny zbiór polskiego prawa handlowego, unifikującego prawne warunki i formy prywatnej działalności zarobkowej w Polsce.

W artykule niniejszym chciałbym rozwinąć pewne myśli, które wyraziłem w artykule p. t. Inflacja ustaw gospodarczych (Nr. 17, 18 „Gospodarki Narodowej"). Chodziło mi tam m. in. o podkreślenie tego, co skądinąd może uchodzić słusznie za truizm, że między zjawiskami prawnemi i zjawiskami gospodarczemi istnieje duża współzależność. Potrzeby gospodarcze wpływają na takie, a nie inne ukształtowanie norm prawnych; z drugiej strony procesy gospodarcze kształtują się pod wyraźnym wpływem norm prawnych. Prawo tworzy te łożyska, w których toczy się wartki strumień życia: ale prawo też często tworzy tamę, którą strumień życia, jeśli nie może rozbić, omija i tworzy nowe łożyska poza prawem lub wbrew prawu. Stąd rzeczą ustawodawcy jest dobrze rozważyć „wytrzymałość" i efektywność norm; ustawodawca musi dobrze rozważyć, czy ludzie dadzą się nagiąć do projektowanej normy, czy też zechcą ją obchodzić lub łamać i czy ewentualny konflikt między treścią normy a potrzebami życia nie przyniesie aby takich strat moralnych i materjalnych, że wpowadzenie danych norm mosiałoby się wydać ryzykownem.

Normy, wchodzące w skład t. zw. prawa handlowego, winny służyć w zasadzie potrzebom obrotu gospodarczego i winny stwarzać to, co się nazywa „bezpieczeństwem obrotu gospodarczego". Równocześnie są one odzwierciedleniem i wypływem ideologji ustawodawcy i jego tendencyj ustrojowych. Nowe kodyfikacje handlowe często nietylko petryfikują istniejący układ rzeczy, istniejące zwyczaje, lecz wybiegają również w przyszłość, tworzą normy na „zapas" i prowokują niejako powstawanie nowych form, dotychczas w życiu nieznanych, niestosowanych. Ale jak ustawodawstwo gospodarcze nie powinno się ograniczać tylko do tego, by wlewać stare wino do nowych statków, tak też nie może w twórczym zapędzie konstrukcyj teoretycznych schodzić z twardego gruntu rzeczywistości gospodarczej.

Oceniając ogólnie nasze nowe kodyfikacje z prawa handlowego, wypada nam stwierdzić, że nie noszą one znamion rewolucyjnych pod żadnym względem; nietylko nie wybiegają w przyszłość, nie tworzą nowych wzorów, lecz przeciwnie — zapatrzone są w przeszłość i z niej zasadnicze czerpią wzory. Nasze nowe prawo odznacza się naogół ubóstwem nowych, twórczych koncepcyj, jest nieoryginalne; możnaby je nazwać kompromisem przystosowanym jakoby do naszych warunków.

Otóż tu właśnie powstaje kwestja, czy to nowe nasze prawo, udane z punktu widzenia techniki prawa, jest udane z punktu widzenia potrzeb gospodarczych. *Możnaby jeszcze ściślej i bardziej konkretnie sformułować tę kwestję i zapytać, czy nowe prawo liczy się z zachodzącą ewolucją stosunków gospodarczych w Polsce.* Można bowiem wielu argumentami odeprzeć zarzut, że ustawodawca nasz jest zbyt konserwatywny i że zrezygnował z tworzenia własnych koncepcyj ustrojowych. Nie mając pretensji z powodu takiego konserwatyzmu, można mieć jednak grube pretensje, jeśliby się okazało, że w konserwatyźmie swoim ustawodawca nie był skłonny nawet uwzględnić zupełnie oczywistej ewolucji stosunków.

Tytułem przykładu poruszę niżej kilka kwestyj, będących zresztą zagadnieniami kluczowemi, do których dotychczas podchodzono z niewłaściwej strony, o ile wogóle je rozpatrywano. Zagadnienia te dotyczą formy przedsiębiorstw, a raczej formy własności przedsiębiorstw, która ulega ciągle ewolucji w miarę postępu techniki oraz zmiany ogólnych warunków gospodarowania.

II.

Spółki akcyjne i spółki z ogr. odp. są najważniejszemi z wielu względów formami współczes-

nych przedsiębiorstw. Niema dziś bodaj nigdzie przedsiębiorstw na większą skalę, a zwłaszcza przedsiębiorstwa pionierskiego, któreby nie miało formy spółki akc. lub spółki z ogr. odpow. Do niedawna wyjątek stanowiły tak olbrzymie przedsiębiorstwa, jak np. Ford i Bat'a, lecz i one w ostatnich latach zmieniły swą firmę jednoosobową na formę spółki akc. Nie będę w tem miejscu przytaczał — znanych zresztą powodów, dlaczego tak się dzieje, bo rozszerzyłoby to nadmiernie ramy artykułu. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że te dwie formy spółek są dziś najbardziej w użyciu, przyczem jednym z najważniejszych motywów przybierania ich jest — możność ograniczenia w ten sposób odpowiedzialności przedsiębiorcy wyłącznie do majątku zainwestowanego w przedsiębiorstwie. Jak się te dwie formy przedsiębiorstw w Polsce rozwijają ilustruje poniższe zestawienie liczby spółek na koniec poszczególnych lat:

	Sp. akcyjne	*Sp. z ogr. odp.*
1922	1.255	5.396
1923	1.690	6.545
1924	1.904	7.184
1925	1.842	7.811
1926	1.755	8.459
1927	1.692	9.239
1928	1.509	10.209
1929	1.5559	10.955
1931	1.609	—

Niestety G. U. S. zarzucił w ostatnich latach statystykę spółek z ogr. odp. i stąd nie posiadamy danych za trzy ostatnie lata. Niemniej te daty, któremi rozporządzamy, wskazują wyraźnie tendencję rozwojową obu form spółek, tendencję niezależną od zmian konjunkturalnych: przy malejącej raczej liczbie spółek akc. następuje ogromny wzrost spółek z ogr. odpow.; od r. 1922 do 1929, a więc w ciągu siedmiu lat liczba ich podwoiła się. Byłoby to potwierdzeniem zdania, że „żubry giną, pluskwy mnożą się", jeżeli przyjmiemy, że przedsiębiorstwa w formie spółki akc. są „żubrami", a w formie sp. z ogr. odp. „pluskwami". Chodzi nam jednak o inną rzecz. Najwłaściwsze wytłumaczenie tej tendencji rozwojowej, która niewątpliwie leży na „długiej fali" znajdziemy chyba w tej okoliczności, że spółki akc. są zrzeszeniami kapitalistów, a sp. z ogr. odp. — przedsiębiorców.

Spółki akc. opierają się na kredycie, jakim w szerszym znaczeniu jest emisja akcyj w drodze publicznej subskrypcji. Cóż się dzieje z akcjami? Wskaźnik ich kursowy spadł do niebywałego u nas jeszcze poziomu ze 119,3 w r. 1927 do 20,6 w roku 1932, gdy w kryzysowym również roku 1925 wynosił 38,1. Obroty akcjami na giełdach polskich wyniosły w roku 1927 — 150,7 milj. złotych, a w r. 1932 — 10,0 milj.! Ten zanik zainteresowania akcjami można zrozumieć, jeśli się weźmie pod uwagę rachunki zysków i strat spółek akc. Przeciętny zysk netto 691 sp. akc. w r. 1928 wynosił zaledwie 5,9% kapitałów własnych, a w r. 1930 — już tylko 348 spółek — 5,4%. W r. 1928 218 spółek wykazało straty w wysokości 6,6% kapitałów własnych, a w r. 1930 — 407 spółek w wys. 10,8%. Wyobraźmy sobie kapitalistę, który chce ulokować gdzieś pieniądze nawet podczas dobrej konjunktury w r. 1928. Czy zdecyduje się kupić akcje, o niskiej i niepewnej przytem dywidendzie, gdy na rynku obiegają coraz to nowe i coraz to lepiej zabezpieczone obligacje państwowe i komunalne i listy zastawne, dające pod gwarancją, licząc nominalny procent i kurs emisyjny — od 8 do 12 procent, a nie licząc zysku, jaki powstaje z kupna papieru po niższym kursie rynkowym?

Wysoka stopa na rynku lokacyjnym podcinała kurs akcyj już w czasie dobrej konjunktury, a w okresie kryzysu wręcz zdezorganizowała rynek akcyjny. Polityka wysokiej stopy procentowej, prowadzona do niedawna, miała fatalny wpływ na rynek akcyjny i skutki tego wpływu trwać będą długi bardzo czas. Wysoka stopa od wkładów, wysokie oprocentowanie papierów lokacyjnych miało głównie na celu ściągnięcie zagranicznych kapitałów do Polski. Polityka ta zawiodła i dziś obserwujemy generalny odwrót; niestety skutków jej nie można tak szybko cofnąć.

Tylko w wyjątkowych branżach mogą u nas przedsiębiorstwa wydzielać dywidendę wyższą od 15% (taka dywidenda dawałaby akcji równą atrakcyjność, jak oprocentowanie 10 — 12% papierów lokacyjnych), jeśli się przytem zważy, że nasze przedsiębiorstwa rozporządzają bardzo niskiemi rezerwami i zyski powinny w pierwszym rzędzie obracać na powiększenie rezerw.

Na niską dywidendę — i co za tem idzie — na niski kurs akcyj ma też wpływ *polityka dywidendowa naszych spółek akcyjnych.* W okresie iflacji pierwszej i drugiej nastąpiło duże przegrupowanie własności udziałów w spółkach akcyjnych. Większe pakiety akcyj dostały się w ręce jednej lub kilku osób; nastąpiła większa koncentracja własności akcyj, co sprawiło, że miejsca w radach nadzorczych zajęli faktyczni właściciele przedsiębiorstwa, dobierając sobie ewentualnie figurantów i prowadzili własną politykę, t. j. politykę właścicieli, polegającą na negliżowaniu interesów drobnych akcjonarjuszy. Obok tego zjawiska, istnieją jeszcze inne przyczyny niskiego kursu akcyj; np. w spółkach o rozdrobnionej własności kapitału akcyjnego pierwsze skrzypce gra zarząd spółki, który dba o swoje uposażenia i o uboczne dochody, a nie o interesy akcjonarjuszy. Z takich to oraz innych względów, obserwujemy różne anomalje. Np. kurs akcyj Cukrowni w Chodorowie wynosił w listopadzie b. r. — 104 zł., a równocześnie w tej samej branży — kurs akcyj Warsz. Tow. Fabryk Cukru wynosił 21 za 100 złotych! Ta rozbieżność kursów świadczy najlepiej o tem, że na kurs akcyj oddziaływują nietylko czynniki konjunkturalne, lecz organizacja przedsiębiorstwa, jego wyposażenie techniczne, przedsiębiorczość zarządu, kurs polityki dywidendowej etc.

Niewydzielanie zysków wzgl. wydzielanie zbyt małej dywidendy w stosunku do stopy panującej na rynku lokacyjnym spowodowało, że publiczność nasza przestała wogóle interesować się akcjami i obdarza je zdecydowanie nieufnością.

Nawet akcje Banku Polskiego, stanowiące faktycznie pierwszorzędny papier lokacyjny, znacznie wskutek tego nastawienia publiczności ucierpiały, wykazując w porównaniu z akcjami innych banków emisyjnych wyjątkowo niski kurs. *Skutkiem tego stanu rzeczy jest, że spółki akc. utraciły dziś jedną z najistotniejszych cech swej istoty: możność „samofinansowania się" drogą publicznej emisji akcyj.* Nie przeczy temu fakt, że emisje nowych akcyj jednak odbywają się, że w r. 1932 emisja akcyj wyniosła 143 milj. złotych,: te nowe bowiem emisje są przejmowane w całości przez dotychczasowych posiadaczy, albo przez wierzycieli tytułem zapłaty długów wzgl. zabezpieczenia kredytów, lecz nie rozszerzają wcale rynku akcyjnego, jak to się dzieje drogą publicznej subskrypcji.

Do tego dołączają się jeszcze przyczyny, leżące w przepisach prawa akcyjnego.

Ogłaszając w r. 1928 nowe prawo akcyjne ustawodawca nasz zdawał sobie niewątpliwie sprawę z układu stosunków, lecz nie wyciągnął całkowicie należytych konsekwencyj. Ustanawiając minimalną kwotę jednej akcji na zł. 100 dopuścił do tego, że akcje w dalszym ciągu stosunków inflacyjnych stały się papierem możliwym do nabycia przez każdego. Taki drobny nabywca akcji nie czuje się niczem związanym z przedsiębiorstwem, którego akcje posiada; liczy na stałą dywidendę, żąda niskiego kursu, gdy chce akcję kupić, a wysokiego, gdy chce sprzedać. Drobny nabywca jest pozatem płochliwy i lada podmuch niepewności skłania go do sprzedania akcji po bylejakim kursie. Ustanawiając bezwzględny zakaz nabywania akcyj własnych ustawodawca nasz uniemożliwił równocześnie spółkom interwenjowanie w obronie własnego kredytu, co szczególnie byłoby wskazane w wypadku baissy sztucznie wywołanej przez konkurencję etc. Ten bezwzględny zakaz nabywania własnych akcyj jest w dodatku bezskuteczny właśnie w tych wypadkach, ze względu na które ustawodawca ustanowił zakaz. Słabe powiązanie naszych spółek akcyjnych z bankami powiązanie które stanowi np. w Niemczech siłę spółek, utrudnia jeszcze bardziej normalny i zdrowy rozwój przedsiębiorstw, istniejących w tej formie.

Wzgląd na zdrowy rozwój spółek akc. nakazywałby stanąć w Polsce na stanowisku, że spółka akc. jest zrzeszeniem przedsiębiorców, a nie kapitalistów i spekulantów. Stąd należało utrudnić dostępność akcji w drodze ustalenia wyższej minimalnej kwoty akcji; a więc nie 100, lecz 1000 zł. byłoby wskazanem minimum. Osiągnęłoby się przez to wyeliminowanie niepożądanych czynników z ruchu akcyjnego. Dla drobnego kapitalisty właściwą formą kapitalizacji powinien być wkład oszczędnościowy lub papier lokacyjny, a nie akcja. Kto się zaangażuje poważniejszą kwotą w spółce, ten nie tak łatwo będzie podlegał nastrojom i większą uwagę będzie poświęcał spółce samej, bo będzie się czuł współprzedsiębiorcą. W takim też tylko wypadku może mieć sens t. zw. ochrona mniejszości w spółce akc., która dzisiaj albo nie daje ochrony, albo stanowi podstawę do wywoływania fermentów przez czynniki nieodpowiedzialne.

Wzgląd na rynek akcyjny i potrzeby finansowe spółek nakazywałby również zrewidowanie norm, regulujących typ emisji. Spółki nasze nie mogą emitować akcyj po kursie niżej pari, akcyj będących typem pośrednim między akcją a obligacją, a warunki emisji obligacji zostały dotychczas wogóle nieunormowane!

Ostatnie wydarzenia na G. Śląsku (Zjednoczone Huty) rzuciły światło na gąszcz zagadnień związanych z koncentracją przedsiębiorstw. Powiązania kapitałowe, zakładanie spółek filjalnych, umożliwiają przeprowadzanie rozlicznych operacyj majątkowych na szkodę wierzycieli ze Skarbem Państwa na czele. Wobec tych nadużyć obowiązujące normy prawne są bezradne. Forma spółki akcyjnej czy spółki z ogr. odp. jest używana do celów, skądinąd przez prawo zabronionych. Nasze prawo akcyjne nie ustosunkowało się należycie do zagadnień koncernowych, a w dodatku nie mamy jeszcze należycie rozprowadzonych w szczegółach przepisów o sporządzaniu bilansów oraz rachunków strat i zysków.

III.

Na powyższem tle silny wzrost liczby spółek z ogr. odp. jest zupełnie zrozumiały. Bo nie można powiedzieć, że przyczyną tego jest wyłącznie fakt, iż w Polsce warunki rozwoju mają tylko przedsiębiorstwa małe i że wobec tego spółki akcyjne, które muszą posiadać conajmniej 100 tysięcy zł. kapitału zakładowego nie mają warunków przyrostu. Główna atrakcja spółki akc., jaką jest możność uzyskiwania bezpośredniego kredytu na rynku drogą emisji akcyj czy obligacyj przestała dziś odgrywać poważniejszą rolę. Jedyną atrakcją pozostaje wobec tego łatwość przenoszenia akcyj. Spółka z ogr. odp. tej łatwości przenoszenia udziałów nie daje, natomiast ma tę wyższość nad spółką akc., że jest formą bardziej elastyczną, mniej skrępowaną przepisami, a dającą ten sam efekt, co spółka akc. — ograniczenie odpowiedzialności. Niezwykle lakoniczne przepisy dekretu o spółkach z ogr. odp. z 1919 r. niemało przyczyniły się do zdyskredytowania tej formy na terenie dzielnicy porosyjskiej. Nowe prawo, wchodzące w życie z dniem 1 stycznia b. r. jest pod każdym względem doskonalsze od starego dekretu, niemniej jednak budzi szereg wątpliwości. *Nasza nowa spółka z ogr. odp. jest par excellence spółką kapitałową;* ustawodawca nasz nie poszedł za wzorem tych państw, które konstruują tę spółkę raczej jako spółkę osobową z ogr. odpow. Tym sposobem prawo o spółkach z ogr. odp. będzie nadal defaworyzować w praktyce spółki akcyjne. Spółki z ogr. odp. staną się niewątpliwie dominującą formą prawną przedsiębiorstwa w Polsce, zwłaszcza, gdy zostaną udoskonalone metody obchodzenia przepisów o formie przenoszenia udziałów.

W związku z tem powstaje kwestja, czy było wskazane konstruowanie typu spółki, która od spółki akc. różni się w zasadzie tylko tem, że jest pozbawiona możności emitowania akcyj czyli uru-

chomiania udziałów w postaci papierów i że jej kapitał zakładowy musi być w całości wniesiony przed zarejestrowaniem? Gdy na całym świecie szerzy się silny prąd przeciw bezimienności kapitału, u nas tę bezimienność raczej się popiera. Spółki z ogr. odp. powinny być zrzeszeniami przedsiębiorców, a nie spekulantów. Postulat ograniczenia odpowiedzialności przedsiębiorcy wyłącznie do majątku zainwestowanego w przedsiębiorstwie jest postulatem słusznym o ile wypływa z chęci ograniczenia wyłącznie t. zw. ryzyka rynkowego, a nie uwolnienia się od odpowiedzialności zawinionej. Badania nad wewnętrzną strukturą spółek z ogr. odp. stwierdzają, że składają się one przeważnie z małej ilości udziałowców; spółka dwu- trzyosobowa, spółka familijna występuje w przeważającej ilości. Otóż przy takim układzie osobowym możliwość przeprowadzenia różnych machinacyj majątkowych na szkodę wierzycieli jest daleko większa, niż przy spółkach liczniejszych.

Zdając sobie z tego sprawę powinien był ustawodawca przeprowadzić bardziej elastyczną granicę odpowiedzialności spólników i ustanowić w pewnych wypadkach bezpośrednią odpowiedzialność spólników wobec wierzycieli spółki, niezależnie od tych sankcyj cywilnych i karnych, jakie zostały przewidziane w stosunku do członków zarządu. Większa elastyczność granic odpowiedzialności, pozostawienie więcej miejsca twórczej interpretacji norm przez judykaturę byłoby rehabilitacją tej — z wielu zresztą względów niesłusznie krytykowanej—formy spółki. Poprawiłoby przedewszystkiem kredyt spółki, który dziś podupadł w wysokim stopniu, gdyż kredytodawcy żądają niemal bez wyjątku gwarancji osobistej lub hipotecznej od spólników, co w praktyce unicestwia właściwy cel istnienia spółki.

Należy się więc obawiać, że nowe prawo o spółkach z ogr. odp. niewiele przyczyni się do podniesienia kredytu tych spółek, z drugiej zaś strony — wobec wprowadzenia wielu nowych rygorów formalnych, może utrudnić ich zakładanie, co nie byłoby pożądane ze względów zasadniczych. Forma nowej spółki nie bardzo odpowiada typowi średniego przedsiębiorstwa w Polsce, dla którego jest ona przedewszystkiem przeznaczona; stanie się ona raczej dostępna dla większych przedsiębiorstw i na tym terenie będzie wypierać spółki akcyjne.

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

BUCHALTERJA ZBOŻOWA

Dla właściwego zdania sobie sprawy z celowości stosowania pewnych środków polityki zbożowej musimy obok zasad ekonomji uwzględniać prawa nauki · o organizacji warsztatów.

Znajomość buchalterji jest koniecznym warunkiem, umożliwiającym analizę sytuacji poszczególnych komórek gospodarki narodowej: przedsiębiorstw publicznych i prywatnych. Wskutek tego znajomość buchalterji jest specjalnie cenna dla polityków gospodarczych, którzy w prawach nauki tej znajdują oświetlenie życia gospodarczego z odmiennego punktu widzenia, niż im daje nauka ekonomji. Wzajemny stosunek, opierającej się o buchalterję nauki o organizacji warsztatów pracy (Betriebswirtschaftslehre) i nauki ekonomji da się porównać do stosunku nauki biologji do nauki anatomji. W każdej z tych grup porównawczych obydwie dyscypliny są sobie równorzędne, żadna nie stoi w stosunku nadrzędnym do drugiej — łączy je podobny temat dociekań; dzieli odmienny punkt wyjścia i odmienna metoda badań.

Uwagi te wydają się na czasie ze względu na powszechne u nas niedocenianie buchalterji jako właściwego środka naukowej analizy gospodarczej warsztatów pracy (Betrieb'ów). Buchalterja bywa częstokroć spychana niesłusznie do roli umiejętności technicznej, stojącej na poziomie np. umiejętności stenografji. Stąd mylna ocena rezultatów badań buchalteryjnych.

Dla polityków gospodarczych specjalnie cennem jest prawidło buchalterji, które mówi, że każda pozycja, uwidoczniona w rubryce przychodu, któregoś z kont, musi znaleźć odpowiednik w rubryce rozchodu jakiegoś innego konta. Wzajemny stosunek rubryk „ma" i „winien" w pewnem danem kole kont pozostać musi zawsze zrównoważony. Rozszerzając prawidło to na całokształt życia gospodarczego dojdziemy do wniosku, że zawsze za korzyść pewnych jednostek, czy całych grup społecznych, ktoś musi płacić. Prawidło to zostało wprawdzie zapożyczone przez ekonomję już tak dawno, że stało się jednem z podstawowych jej praw, temniemniej spotykamy się często z rozumowaniami, które starają się je obejść, lub wręcz je ignorują.

Weźmy np. dziedzinę polityki zbożowej. Rozpowszechniło się szeroko rozumowanie, z którego wynika, że każda złotówka, wydana na premje zbożowe, przynosi gospodarce narodowej wielokrotne zyski. Rozumowanie to nie jest słuszne. Błąd rozumowania tkwi w zapoznaniu praw buchalterji.

Działanie premij zbożowych oparte jest o t. zw. regułę King'a. Reguła ta próbuje uchwycić cyfrowo zależność między ewentualną nadwyżką czy niedoborem zboża na danym rynku, a ruchem cen. Punktem wyjścia jest tu obserwacja, że kon-

sumcja zbóż jest stosunkowo sztywna. Niewielki nawet nadmiar zbóż ponad normy średniej konsumcji powoduje nieproporcjonalnie ostry spadek cen, nieznaczny niedobór daje w rezultacie gwałtowną zwyżkę.

W ogólnych linjach spostrzeżenia, zawarte w regule King'a, pozostają i dzisiaj w mocy. Wprawdzie, mimo różnych utrudnień przywozowych, stosowanych przez różne kraje łatwość dowozu zboża w razie niedoboru jest jeszcze naogół większa, niż w końcu XVII w., gdy King formułował rezultaty swych badań. Wprawdzie wraz z rozwojem gospodarczym ostatnich stuleci, konsumcja zbóż przeszła rozmaite ewolucje i naogół jest dziś w większości krajów europejskich elastyczniejsza (wskutek szerszych możliwości substytucji), niż konsumcja zbóż na rynku londyńskim za czasów, gdy stanowił on teren obserwacyj King'a. Jednakże zasadnicza obserwacja King'a: nieproporcjonalnie silna reakcja cen zbóż na niewielki ich nadmiar lub niedobór na danym rynku — zachowuje swą wartość dotychczas.

Jeżeli założymy, że dzięki działaniu premij zbożowych pewna ilość zboża zostanie wywieziona zagranicę, to efekt premji na rynku wewnętrznym jest oczywisty: ceny zboża rosną znacznie silniej, niżby się tego można było spodziewać z zestawienia ilości początkowej z ilością zmniejszoną przez wywóz. Tem samem każda złotówka, wydana na premje zbożowe, daje w efekcie wielokrotnie wyższą zwyżkę cen zboża na rynku wewnętrznym.

Osiągnięte tą drogą wyższe ceny zboża nie oznaczają jednak wzrostu zysku dla gospodarki narodowej. Wielkość dochodu społecznego pozostaje bez zmiany. Pewnemu przesunięciu ulega jedynie jego podział.

Twierdzenie to najlepiej da się zilustrować przy pomocy buchalterji. Jeżeli założymy, że 10 milj. złotych wydanych na premje zbożowe daje w efekcie 100 miljonów złotych korzyści dla rolnictwa, to musimy czyjeś konto obciążyć sumą 90 milj. złotych, stanowiących różnicę między efektywnie wyłożoną przez Skarb Państwa sumą 10 milj. zł. a 100 milj. złotych, osiągniętymi przez rolnictwo ze sprzedaży zboża po odpowiednio wyższej cenie. Jasnem jest, że koszt tego dodatkowego zysku producentów zbóż stał się udziałem wszystkich kupujących zboże po wyższych cenach na rynku wewnętrznym, a więc zarówno konsumentów miejskich, jak i wiejskich. Jasnem jest również, że w tych warunkach nie może być mowy o korzyści całej gospodarki narodowej, a jedynie o korzyści producentów zbóż. Naturalnie przy pomocy rozważań buchalteryjnych możemy ustalić tylko pewien szczegół zagadnienia premij zbożowych: kwestję tego, kto ponosi koszty działania ich. Przy pomocy buchalterji nie można rozważać zagadnienia celowości istnienia premij zbożowych. Ta dziedzina wymaga już oświetlenia ekonomicznego.

O premjach zbożowych pisano już wielokrotnie. Sprawa ta kilkakrotnie była omawiana na łamach „Gospodarki". Bieg ostatnich wypadków nakazuje jednak ponowne zastanowienie się nad celowością premjowania wywozu zbóż.

Za punkt wyjścia rozumowania przyjmijmy że premje zbożowe istnieją od kilku lat, że w ciągu tych kilku lat rolnictwo przystosowało się do ich istnienia, nastawiając odpowiednio produkcję, że wskutek tego wszelkie raptowne zmiany systemu premjowania zbóż byłyby szkodliwe.

Musimy jednak zarazem pamiętać, że rozpoczynamy szósty rok kryzysu rolnego, że pomyślane początkowo jako zarządzenie o charakterze doraźnym premje zbożowe stanowią poważne obciążenie Skarbu Państwa, a pozatem są czynnikiem, wywołującym fałszywą dyspozycję kapitałów w ramach gospodarki narodowej[1]), że wreszcie system premij wywozowych jest w pełni skuteczny jedynie przy istnieniu wolnych rynków zbytu, obecnie zaś stoimy wobec coraz szerzej stosowanego systemu kontyngentowania przywozu zbóż.

Premje zbożowe są ogólnie uznane za najskuteczniejszy środek przesunięcia dochodu społecznego na rzecz producentów rolnych. Ze względu na przytoczone wyżej motywy, które skłaniają do zastanowienia się nad celowością dalszego premjowania wywozu zbóż, koniecznem byłoby dokładne rozważenie zagadnienia, czy rzeczywiście premje zbożowe dają stosunkowo największy efekt dla rolnictwa.

Rozpatrzenie tego zagadnienia wymagałoby dość skomplikowanych rozważań ekonomicznych i buchalteryjnych.

Za wielkiem znaczeniem premij przemawia przytoczone już wyżej działanie prawa King'a. Wydaje się, że w ciągu ostatnich lat, przy stosunkowo niewielkiem rozpowszechnieniu rejestrowego zastawu zbożowego, efekt premij przewyższa efekt wszystkich innych środków interwencyjnej polityki zbożowej.

Czy jednak w buchalteryjnej ocenie tego efektu nie kryje się poważna przesada?

Jak wiadomo, większa część zboża, wyprodukowanego w kraju, spożywana jest przez wieś. Jeżeli premje zbożowe przyczyniają się do zwyżki cen tej części zbóż, to z punktu widzenia buchalteryjnego nie stanowi to żadnej korzyści dla rolnictwa jako całości. Z punktu widzenia ekonomicznego można nawet mówić o ujemnem działaniu wysokiej ceny zboża, zużywanego przez rolników, gdyż podnosi ona koszty, a tem samem obniża rentowność produkcji hodowlanej.

Jeżeli chodzi o tę część zboża, która dostaje się na rynek, to działanie premij jest tu oczywiste. Działanie to jednak jest znacznie osłabione przez to, że większa część przeznaczonego na sprzedaż zboża, zostaje rzucona przez rolników w krótkim okresie czasu miesięcy pożniwnych. Wskutek akumulacji podaży i słabej techniki finansowania zbiorów zysk z premij staje się w większości wypadków udziałem pośredników. Nie należy przytem na karb działania premij, czy innych środków

---

[1]) Patrz artykuł „Walka z kryzysem a premje zbożowe". „Gospodarka Narodowa" Nr. 9. 1931.

interwencji kłaść zwyżki sezonowej cen zbóż, którą obserwujemy co roku mniej więcej od lutego — marca. Zwyżka ta jest zjawiskiem, nie mającem z systemem premij nic wspólnego.

Mogliśmy obserwować w latach, gdy obowiązywały u nas cła wywozowe w miesiącach wiosiącach wiosennych, że, pomimo ich istnienia, ceny zbóż zwyżkowały. Pozatem musimy pamiętać, że system premij oznacza wprowadzenie jako regulatora ceny wewnętrznej „parytetu eksportowego", że tem samem pozytywne działanie premij uzależnione jest od sytuacji geograficznej danego warsztatu rolnego, oraz od środków komunikacji. Biorąc to zagadnienie sumarycznie można powiedzieć, że premje zbożowe są w pierwszej linji korzystne dla rolników z województw zachodnich, mniej dla rolników z województw centralnych i południowych, a najmniej dla rolników z województw wschodnich.

Jak już zostało wyżej zaznaczone premje zbożowe wydają się obecnie najskuteczniejszym środkiem dotychczasowej interwencji zbożowej. Ciężar zagadnienia przy rozpatrywaniu celowości dalszego istnienia premji zbożowych nie leży jednakże w porównywaniu ich działania z innemi środkami interwencyjnej polityki zbożowej.

Celem sztucznego podtrzymywania poziomu ceny zboża jest zapewnienie rentowności produkcji rolnej. Podtrzymywanie ceny zboża jest jednak zaledwie jednym ze środków, prowadzących do poprawy tej rentowności. Zasadniczym motywem, który przesądził o wprowadzeniu zasady premjowania wywozu zbóż był argument, że premje przynoszą większą korzyść efektywną rolnictwu niż np. obniżka podatków, czy zmniejszenie kosztów obsługi długów. Argument ten nie wydaje się tak oczywisty jakby to można było przypuszczać.

Wpływy z podatku gruntowego wyniosły w ostatnich latach przeciętnie około 50 milj. zł. W granicach dotychczasowych środków, któremi operuje polityka zbożowa byłoby możliwe bardzo znaczne obniżenie tego podatku. Jak wiadomo, większą część sum należnych z tytułu podatku gruntowego, wpływa do kas Urzędów Skarbowych w miesiącach pożniwnych. Zmniejszenie podatku gruntowego przyczyniłoby się do zmniejszenia podaży zbóż na jesieni, a tem samem do częściowego zniwelowania rozpiętości sezonowych wahań cen. Obniżenie podatku oznaczałoby potanienie kosztów produkcji wszystkich artykułów roślinnych. Potanienie kosztów produkcji ułatwiłoby racjonalizację poszczególnych warsztatów rolnych. Przy wysokich podatkach rolnik musi obsiewać możliwie największą przestrzeń ziemi, przytem musi dla wygospodarowania tych podatków stosować możliwie intensywną uprawę. Obniżka podatków umożliwiłaby przejście do racjonalniejszej kalkulacji. Słabsze gleby zostałyby zamienione na pastwiska, czy byłyby uprawiane mniej intensywnie, bez obawy niemożności wygospodarowania na nich podatków. Tem samem nastąpiłaby pewna ekstensyfikacja gospodarstw, (nie zawsze równoznaczna z upadkiem ogólnej kultury rolnej!) umożliwione zostałyby przesunięcia w ramach poszczególnych gospodarstw w kierunku większej samowystarczalności nawozowej („nawozy zielone"), poprawiłaby się ogólna rentowność produkcji roślinnej. Produkcja zbóż w rezultacie zmniejszyłaby się, lecz stałaby się rentowniejszą. W razie gdyby dała się zauważyć tendencja do zbyt silnego zmniejszania produkcji zbóż, to zawsze istnieje możność przeciwdziałania temu przez np. forsowanie zużycia nawozów sztucznych po niskich cenach itd. Obawy wielkiego importu zbóż przy obecnym poziomie ochrony celnej nie są realne. Jeżeli zaś chodzi o ewentualność głodu, to jak uczy nas doświadczenie ostatnich lat głód na wsi jest objawem normalnym przy dużej produkcji zbóż i forsownym eksporcie.

Jednostronne popieranie eksportu zbóż ma cały szereg skutków ujemnych wskutek przesunięć, które wywołuje w samej produkcji roślinnej. Przypuśćmy, że uprawa jakiejś rośliny, przy obecnym poziomie jej cen opłaca się bez żadnej pomocy ze strony Państwa, podczas, gdy uprawa zbóż nie opłaca się. Przez wprowadzanie premji zbożowych opłacalność uprawy zbóż sztucznie wzrasta. Jeżeli wzrost ten jest tak silny, że produkcja zbóż dzięki premjom opłaca się lepiej, niż produkcja tamtej innej rośliny, to rezultatem jest kurczenie się rozmiarów uprawy tej rośliny, mającej naturalne warunki opłacalności, na korzyść uprawy zbóż forsownej sztucznie. Tem samem struktura rentowności produkcji rolnej ulega dalszemu pogorszeniu. Zjawisko takie obserwujemy obecnie w niektórych województwach np. w stosunku do strączkowych.

W ciągu ostatnich kilku lat dokonały się bardzo daleko idące procesy adaptacyjne w rolnictwie Koszty produkcji ważniejszych artykułów roślinnych znacznie się obniżyły. Obniżka ta objęła zarówno koszty technicznych środków produkcji (maszyn, nawozów sztucznych) jak i robocizny, jak wreszcie kosztów oprocentowania dawnych długów i nowych kredytów. Jedyną pozycją rosnącą są podatki.

Wydaje się, że dylemat co daje większy efekt rolnictwu—obniżka podatków, czy próba podtrzymywania cen niektórych artykułów nie jest łatwym do rozwiązania bez dokładnej analizy ekonomicznej i buchalteryjnej.

Analiza ta winna być w obecnych warunkach na nowo podjęta. A priori da się tylko stwierdzić, że z punktu widzenia struktury gospodarki narodowej wszelkie zabiegi w rodzaju sztucznego podtrzymywania cen pewnej grupy artykułów są na dłuższą metę szkodliwe.

Administracja
prosi o odnowienie prenumeraty
na kwartał I.

UWAGI

EKONOMIŚCI NIE ZBAWIĄ ŚWIATA.

„Ekonomiści nie zbawią świata" — ten wyrzut usłyszałem niedawno na jednem z zebrań prowincjonalnych z ust osób, wielce zasłużonych dla pracy społecznej. Pomijając trudności określenia, co jest „zbawieniem świata", a także pozorną zbędność samego okrzyku, skoro ekonomiści bynajmniej nie uważają się za grupę wyłącznie predestynowaną do zbawienia świata, widzę w nim jednak symbol stosunku sporej części społeczeństwa do teorji nauk gospodarczych. Taki okrzyk jest niewątpliwie wyrazem rozczarowania do wyników prac ekonomistów i zarazem jest dowodem, jak wielkie potencjalne możliwości część społeczeństwa ekonomice przypisuje. Treść przytoczonego zdania płynie z tego samego psychicznego podłoża, z którego płynęły zamieszczone niedawno w „Gospodarce„ artykuły p. Falka i tyle innych głosów na najrozmaitszych terenach. Dyskusja na ten temat dostatecznie wyjaśniła, że zarzuty są skierowane pod niewłaściwym adresem, że ekonomista najwłaściwiej spełnia swe zadania, gdy dąży do objektywnego poznania rzeczywistości, zupełnie podobnie, jak przyrodnik lub astronom.

Czy jednak postawa społeczeństwa, z której się rodzi rozczarowanie do praktycznej wartości prac ekonomistów, jest *wyłącznie* omyłką, nieporozumieniem, czy nie tkwią poza nią pewne rzeczywiste zjawiska, na które wartoby zwrócić uwagę? Czy zwłaszcza nie jest godnym zastanowienia i uznania fakt, że społeczeństwo słusznie domaga się otrzymania maksimum tych korzyści praktycznych, jakie dzięki pracom ekonomistów, są do osiągnięcia, i słusznie stwierdza, że w chwili obecnej otrzymuje zbyt małą cząstkę tych korzyści? Czy wreszcie poprawa tego stanu rzeczy nie leży w równej mierze w interesie społeczeństwa jak i samych ekonomistów?

Twierdząca odpowiedź na to ostatnie pytanie wydaje mi się niewątpliwa. Niema bodaj tak bezinteresownego badacza w jakiejkolwiek, choćby najbardziej abstrakcyjnej, dziedzinie wiedzy, któryby nie marzył o tem, że zdobycze jego prac, w ten lub ów sposób będą dla ludzkości pożyteczne. Technik, który użytkuje dorobek fizyka, budując nowe narzędzie, czy lekarz, który opierając się na badaniach fizjologa, opracowuje metody walki z chorobą, wyrządzają przysługę nietylko społeczeństwu, ale także owemu fizykowi i fizjologowi, których wysiłek, często pozornie zmarnowany i zapomniany, zyskuje nagle na doniosłości, nierzadko już po śmierci swego autora. Jakże piękną rekompensatą za skromny i bezinteresowny wysiłek Grzegorza Mendla stały się po kilkudziesięciu latach praktyczne zdobycze genetyki! W dziedzinie nauk społecznych pragnienie przyczynienia się do istotnej poprawy bytu ludzkości jest oczywiście szczególnie gorące i niekiedy przybiera nawet postać marzeń o "zbawieniu świata". Poczucie, że jego prace nie są, a zwłaszcza nie będą należycie wyzyskane, jest dla ekonomisty poczuciem bolesnem, przygnębiającem. niekiedy odbiera mu ochotę do dalszej pracy, albo skłania do przejścia od czystej pracy badawczej do działalności praktycznej. Sądzę, że masowe dziś w całym świecie oddawanie się ekonomistów bądź publicystyce, bądź polityce gospodarczej, jest wyrazem niezadowolenia, płynącego z zupełnie tych samych źródeł, co i wyżej zaznaczone niezadowolenie społeczeństwa z owoców pracy ekonomistów.

Dla zaradzenia temu stanowi rzeczy wysuwana bywa często sugestja, że należy teorję „zbliżyć do życia"(poprostu przez odpowiedni wybór tematów prac naukowych. Porzucić abstrakcyjne założenia, pamiętać o całej zawiłości zjawisk konkretnego życia, dawać rozwiązania problematów trapiących ludzkość, nie marnować wysiłków na szukanie takich zależności, których stwierdzenie nikogo w danej chwili nie obchodzi. Z tego punktu widzenia za idealną należałoby przyjąć postawę ekonomistów amerykańskich i emerykańskich instytucyj naukowych, których przeważająca część dorobku ma tak bezpośrednią wartość dla podmiotów gospodarujących, że dorobek ten łatwo się daje spieniężyć.

Tego rodzaju sugestje należy odrzucić, jako polegające na braku perspektywy, na przecenianiu korzyści bezpośrednich i niedocenianiu pośrednich. Niema zagadnień teoretycznych, których rozwiązywanie możnaby uznać za napewno nieużyteczne, niema kryterjów, któreby pozwoliły ocenić w jakiej dziedzinie praca teoretyczna jest bardziej, albo mniej potrzebna, jedynem kryterjum jest subjektywna pasja, z którą badacz rzuca się na te zagadnienia, w których ma nadzieję uzyskania największych wyników.

Źródło zła widzę raczej w braku w dziedzinie gospodarczej tego ustalonego łańcucha, łączącego najbardziej abstrakcyjną teorję z praktyką, który widzimy w innych dziedzinach. Łańcucha o wyspecjalizowanych ogniwach, z których żadne nie usiłuje uwolnić się od wływu pozostałych. Z prac najzupełniej teoretycznych chemika, biologa, fizjologa, korzysta ich kolega — bakterjolog. Jego badania służą za podstawę prac naukowca-lekarza, który dzięki temu jest w stanie rozwiązać szereg zagadnień praktycznych, te zaś rozwiązania przekazuje lekarzom - praktykom, których zdolność ratowania cierpiących, albo zapobiegania chorobom doznaje, dzięki temu, zwiększenia. Na każdym z tych etapów obowiązuje dokładna znajomość dorobku, osiągniętego na poprzednim etapie, wypadki lekceważenia tego dorobku należą do rzadkości. Zdarza się, że ten sam człowiek łączy pracę przyrodnika, lekarza - naukowca i praktyka, ale takie połączenie wymaga ogromu pracy, a wcale nie oznacza pominięcia któregokolwiek ogniwa. Podobnie inżynier - konstruktor, albo architekt przyjmuje dorobek fizyka i matematyka, nie probując poddawać tego dorobku krytyce, a tem bardziej nie myśląc o jego odrzuceniu. W dziedzinie

gospodarczej jest inaczej. Nie istnieje zasadnicze ogniwo pośrednie—technik ekonomiczny—któryby brał od teoretycznej ekonomiki jej dorobek i przerabiał go na kategorje praktyczne. Pozornie istnieją różne ogniwa, łączące ekonomikę z praktyką — popularyzatorzy, publicyści, politycy i działacze gospodarczy. Ich wspólną cechą jest, niestety, w przygniatającej liczbie wypadków, lekceważenie potrzeby opanowywania cudzego dorobku teoretycznego. Lekarz, któryby nie znał wyników prac Pasteur,a czy Calmette'a byłby w krótkim czasie zdyskredytowany i pozbawiony praktyki. Działacz gospodarczy, który nie opanował Ricardo'a, który nie zdaje sobie sprawy z mechanizmu działania elementarnych praw gospodarczych, może śmiało pisać dzieło, czytane jako ekonomiczne, może sprawować najodpowiedzialniejsze dla życia gospodarczego funkcje. Technik, któryby zlekceważył dorobek nauki o wytrzymałości tworzyw, mógłby się znaleźć rychło za kratkami. Polityk gospodarczy, który nie rozumie prawa podaży i popytu, ogłasza urbi et orbi, że nie uznaje tego prawa i zachowuje mimo to cały swój autorytet. Stąd właśnie wynika, że teorja ekonomiczna mało korzyści oddaje praktyce. Stworzono bowiem dopuszczalność obchodzenia się bez niej na wszystkich szczeblach. Trudno się wobec tego dziwić, że każdy wogóle członek społeczeństwa patrzy na ekonomistów z pobłażaniem i lekceważeniem, że każdy ma własny , najlepszy, system ekonomiczny, w którym rozumienie mechanizmu zjawisk gospodarczych nie gra żadnej roli.

Pewien profesor, mówiąc o zagadnieniach pieniężnych, oświadczył swym uczniom, że marzy o takim wyniku jego wykładów, by uczniowie zrozumieli zawiłość zjawisk monetarnych i uznali swą niekompetencję do zabierania w tych sprawach głosu. Sądzę, że ideałem uświadomienia społeczeństwa pod względem gospodarczym byłoby zrozumienie przez to społeczeństwo, że do zabierania głosu w sprawach gospodarczych potrzebne jest siakie - takie o nich pojęcie. Wówczas ekonomiści, chociaż „nie zbawią świata" może się przecież na coś przydadzą.

J. Poniatowski.

OBCE POŚREDNICTWO.

Jeszcze niedawno prelegent, któremu postawiono pytanie — na czem winno polegać kierowanie międzynarodowemi obrotami państwa — znalazłby się w kłopocie. Musiałby zawile a niewyczerpująco tłumaczyć, że polityka handlowa, którą winien uprawiać dany kraj uzależniona jest od całego splotu warunków wynikających z położenia geograficznego i klimatycznego, stopnia rozwoju własnej wytwórczości, zasobności rynku pieniężnego i kapitałowego, struktury populacyjnej, psychiki narodowej, zaufania zagranicy, i Bóg wie jeszcze jakich okoliczności.

Dzisiaj zagadnienie niezmiernie się uprościło, a trafna zresztą, odpowiedź na nasze pytanie brzmiałaby bez wahania — na tego rodzaju ukształtowaniu bilansu handlowego, aby bilans ten nie wywrócił równowagi bilansu płatniczego. Jest pewien tragizm żeglarza powietrznego, wyrzucającego aparaty naukowe i przyrządy żeglarskie, aby utrzymać wysokość lotu.

Saldo bilansu handlowego nie jest jednakże martwem zestawieniem pewnej ilości ton i jednostek monetarnych, a mechaniczne sposoby kompresji importu lub powiększenia premij eksportowych często zawodzą i przez to wykonanie prostej zasady wcale może nie jest łatwiejsze, niż nakreślenie szerokich rysów dalekowzrocznej polityki handlowej.

Linją najmniejszego oporu przy regulowaniu salda bilansu handlowego jest zmniejszanie importu w drodze podwyższania ceł, zakazów przywozu i reglamentacji dewiz, jednakże poczynając od pewnego punktu opór powiększa się niesłychanie; kraje, których samowystarczalność rolnicza i surowcowa jest nieznaczna, po wyczerpaniu intensyfikacji produkcji własnych surowców (zadanie łatwiejsze) i przeprowadzeniu akcji zastępowania surowców zagranicznych krajowemi (zadanie znacznie trudniejsze, często niewykonalne), bardzo szybko osiągają położenie, w którem dalsze ograniczenie przywozu nie jest już możliwe.

Zresztą, pamiętać należy, że wysokość importu w potężny sposób jest uzależniona od zamiarów eksportowych ze względu na konieczność zawierania układów międzypaństwowych. Z drugiej znów strony automatycznym czynnikiem wspierającym kompresję przywozu jest zmniejszająca się pojemność rynku.

Bardziej ciernistą ścieżką jest (względnie przynajmniej) zwiększenie wywozu, nie wystarcza tutaj często heroiczny środek premjowania wywozu kosztem dochodu społecznego. Mur tylko co wyliczonych środków hamujących import często jest niemal do przezwyciężenia, wystarczy przytoczyć przykład wywozu żyta polskiego.

Kilka słów powyższych, zawierających rzeczy powszechnie znane, potrzebne było dla uwypuklenia, naszem zdaniem, zbyt mało docenianego kąta widzenia na zagadnienie bilansu handlowego.

Należy bardziej wydobyć na światło dzienne pozycję kosztów obcego pośrednictwa, związanych z naszym obrotem towarowym z zagranicą.

Niemal nie rozporządzamy metodą, która pozwoliłaby na dokładniejsze ustalenie wysokości tych kosztów. Chcąc wziąć za podstawę obliczenia w przywozie cenę światową, odrazu napotykamy na trudność przy ocenie udziału przewoźnego w cenie statystycznej loco granica czy cif port. Trudność nie do przezwyciężenia przy obliczeniach dla eksportu, jeśli zważyć że wchodzą w grę dane statystyki eksportowej, znacznie mniej pewne, a kraju ostatecznego przeznaczenia — szukaj po świecie.

Na podstawie jednak danych, zaczerpniętych z praktyki, sądzić można, bez obawy popełnienia większego błędu, że koszta pośrednictwa przy imporcie wahają się w granicach 10 — 20% ceny loco granica lub port.

Jeśli przyjąć cyfrę 2 miljardów za chwilowo stabilizowaną wysokość naszych obrotów z zagranicą, a przeciętny koszt pośrednictwa za 10%, to

koszt ten „w obie strony" wyrazi się okrągłą cyfrą 200 miljonów złotych.

Jakież niewyczerpane źródło oszczędności w warunkach, w których czynne saldo stumiljonowe uważane jest za korzystne. Wyzyskanie jednak źródła tego wcale nie jest łatwe i bardzo mało daje się nagiąć do zgóry powziętego planu; wymaga przytem nietyle ram nakładanych przez czynniki kierujące polityką handlową, ile sprężystej działalności czynników gospodarczych.

Trudności, piętrzące się na drodze ubezpośrednienia handlu zagranicznego są bardzo wielkie.

Na czoło wysuwa się małe znaczenie rynku polskiego w handlu światowym, wahające się, niezależnie od konjunktury, na poziomie 0,8 — 1%; przyczem cyfra ta zostaje wzmocniona okolicznością, że co do obrotu zagranicznego, Polska znajduje się na trzydziestem miejscu. Koncentracja handlu towarami światowemi, będąca naturalną funkcją koncentracji ich wytwórczości, oczywiście lekceważącem okiem patrzy na biedaka, który omijając „uprawnionego" detalistę, czy półhurtownika, ciśnie się do hurtownika czy nawet fabrykanta, aby kupić za grosze, albo też obok wielkiego domu towarowego, gwałtem chce ustawić swój kramik. Nie należy jednak zapominać, że właśnie chwila depresji gospodarczej jest chwilą, w której psychika „wielkich interesów" doznaje największego załamania, zatem chwila, z której trzeba korzystać.

Następną trudność stanowi fakt, że obroty wielu krajów z Polską polegają na pośrednictwie, chęć jego eliminacji zatem bezpośrednio odbije się na interesach wywozu polskiego. Tutaj jednak drobiazgowy winien decydować rachunek; jeśli handel polski z krajem X przynosi, dajmy na to, saldo czynne w wysokości 10 miljonów, jeśli przytem wiadomo, że za pośrednictwo płacimy temu krajowi 20 miljonów, to oczywiście można zaryzykować stratę tych obrotów pod warunkiem zastąpienia ich obrotami bezpośredniemi z konsumentem i producentem, mniejszemi wagowo, a równemi lub lepszemi co do wartości.

Przykład jest oczywiście teoretyczny, służy nam jednak, jako antidotum przeciwko „psychozie aktywnego salda". Tylko ten klient jest naprawdę cenny, który spłaca nam bierne saldo swojemi pieniędzmi, nie zaś częścią naszych własnych.

Zresztą i bez tak radykalnych posunięć jest jeszcze wiele do zrobienia, są kraje, które pośredniczą drogo, są i kraje tańsze i najtańsze. Wspomnieć wystarczy o pewnym artykule eksportowym polskim, wywożonym przez Hamburg z jawnym, 15%-wym zyskiem pośrednika, który w identycznych warunkach, wywożony przez dom londyński, traciłby tylko 5% na zagranicznej usłudze.

Wreszcie tendencja do eksportu zamorskiego, oparta na innych zresztą, bilansowych przesłankach, a często niesłusznie krytykowana, zyskuje przy naszym punkcie widzenia nową podporę. Mianowicie struktura przywozu polskiego wykazuje przewagę surowców i półfabrykatów zamorskich, jeśli więc chcieć obejść się bez pośrednictwa — tam trzeba bezpośrednio kierować wywóz.

Uważne przyjrzenie się, nie cyfrom statystyk, choć i te niekiedy zdradzają rzeczywistość, (Polska w statystyce wywozu z Argentyny figuruje na sumę 25.000, wyraźnie dwadzieścia pięć tysięcy pesów), lecz żywemu handlowi dowodzi, że przeważnie ulegamy złudzeniu ubezpośrednienia handlu. Jeżeli nawet komunikacyjnie czy statystycznie nastąpiło nawiązanie bezpośrednich stosunków, to jednak jeszcze zawsze szukać należy, kto i gdzie zawiera tranzakcję, kto ją finansuje, wszystko oczywiście nie zadarmo.

Konkurencja z obcym kupcem, a zwłaszcza bankierem, jest w większości wypadków zadaniem przerastającem barki naszych czynników gospodarczych, nie jest jednakże i w obecnych warunkach wykluczona. Wymaga ona przedewszystkiem zwrócenia baczniejszej i życzliwszej uwagi na ten, zdaniem naszem, niemniej ważny instrument aktywizacji bilansu, jakim jest częściowa eliminacja i potanienie pośrednictwa i przełamania psychiki szerszych sfer naszych kupców eksportowych, importerów i banków.

Wymaga także bardziej ufnego ustosunkowania się do jednostek, które nieraz z motyką na słońce, zabierają się do wywiezienia kolekcji próbek polskich do Indyj holenderskich, czy założenia w Gdyni pakowni konserw ananasowych.

Psychikę dzisiejszej polityki handlowej, trafnej w niej ostrożności, najlepiej charakteryzuje słowo — dojutrkowanie, ale czy ostrożność nie może dopuścić nieco szerszych myśli.

Jedną właśnie z takich szerszych myśli jest dalsze konsekwentne działanie w kierunku wyżej naszkicowanym.

Ubezpośrednienie handlu zagranicznego Polski, korzystne dla bilansu handlowego jest działaniem, które przeciwnie, niż wszelkiego rodzaju środki represyjne, handle kompensacyjne i inne „36 sposobów handlu z zagranicą", nosi cechy trwałości.

Ubezpośrednienie to, także w warunkach wolnej konkurencji stworzy trwałą podstawę pełnego wyzyskania Gdyni, okrzepnięcia polskiego handlu morskiego i powiększenia własnego tonażu.

Jeżeli zatem ukazywały się słuszne głosy przeciwko nadużywaniu zasady „od wytwórcy wprost do spożywcy" (paczki pocztowe!) w stosunkach wewnętrznych, to w handlu międzynarodowym każdy musi pamiętać, że nie na to zdzieramy z siebie siódmą skórę, aby się w nią stroił zagraniczny kupiec.

Dr. A. M.

ZADANIA PRASY.

Pisząc przed rokiem o prasie codziennej stwierdziłem, iż „poświęca ona zagadnieniom gospodarczym coraz więcej miejsca i mówi o nich na coraz wyższym poziomie". (Gospodarka Narodowa Nr. 20 z dn. 15.X 1932 r. „Epidemje"). Zdania tego nie cofam, z drugiej strony jednak muszę stwierdzić, że było ono — nietyle zbyt pochopne — ile zbyt sumaryczne. Nie ulega wątpliwości, że na wielu odcinkach poziom omawiania spraw gospodarczych

w prasie codziennej został podwyższony. Z drugiej jednak strony dotyczy to niestety tylko ograniczonej liczby pism, — no — a w stosunku do czołowych organów prasy również dają się podnieść pewne zastrzeżenia — innej coprawda natury. Zacznijmy od tych właśnie zastrzeżeń, zastrzeżeń dotyczących tych pism, które posiadają działy gospodarcze sensu stricto. Materjał zawarty w tych działach odpowiada zazwyczaj prawdziwemu stanowi rzeczy, jeśli chodzi o informacje i jest conajmniej poprawnie opracowany. Chodzi jednak o co innego. Chodzi o postulat, którego nie można było wysuwać dawniej, ale który staje się wpełni aktualnym właśnie z chwilą osiągnięcia pewnego, dość wysokiego poziomu. Chodzi o to, czy celowem i potrzebnem jest zamieszczanie takiego właśnie, a nie innego materjału, czy nie jest pomijane to, co przedewszystkiem powinno być uwzględnione.

Dział gospodarczy każdego pisma przeznaczony jest z natury rzeczy dla dwuch rodzajów czytelników: dla specjalistów od spraw gospodarczych (rozumiejąc przez to słowo zarówno ludzi interesu, jak i pracowników państwowej administracji i organizacyj samorządowych i gospodarczych) oraz dla „laików". Dla pierwszej kategorji znaczenie pisma codziennego jest oczywiście tylko pomocnicze, ale bardziej doniosłe. Jeżeli pismo nie wyspecjalizuje się w kierunku gospodarczym, stając się częściowo czy całkowicie dziennikiem gospodarczym, nie może ono oczywiście dać informacyj dostatecznie — z punktu widzenia potrzeb specjalistów — pogłębionych i szczegółowych. Natomiast sygnalizuje ono zjawiska, z któremi specjalista może zapoznać się bliżej inną drogą. Niewątpliwie w Polsce rola czołowych organów prasy codziennej jest w tym kierunku tem większa im większe braki stwierdzić się musi odnośnie pism specjalnie poświęconych zagadnieniom gospodarczym czy mającym znaczenie dla życia gospodarczego. Faktem jest np. że pod względem szybkości służby informacyjnej, codzienna prasa polityczna wyprzedza jedyne w Polsce codzienne pismo gospodarcze. Ten typ wiadomości „sygnałów" o aktualjach polityczno - gospodarczych jest jednak, rzecz prosta, dla drugiej kategorji czytelników, dla laików, bądź obojętny, bądź też — podany w zwięzłej formie — niezrozumiały. To też pod względem zaspokojenia potrzeb laika niepomiernie donioślejszą rolę odgrywają większe artykuły oświetlające pewien kompleks zagadnień, aniżeli krótsze czy dłuższe wzmianki kronikarskie.

Bądź co bądź centralną figurę wśród czytelników każdego codziennego pisma stanowi laik a nie ekonomista. Bądź co bądź dla specjalisty rola prasy codziennej jest o tyle mniejsza, że nie stanowi ona całej jego lektury o sprawach gospodarczych, podczas kiedy dla laika dziennik stanowi jedyną lekturę. Dlatego też wydaje się wskazanem, ażeby przy wyborze materjału i typu opracowania tego materjału przedewszystkiem liczono się z potrzebami i zainteresowaniami laika. Niewątpliwie nieunikniony i konieczny jest pewien kompromis, ale w każdym razie kompromis ten nie powinien dokonać się kosztem potrzeb i zainteresowań laika, a to tem więcej, że właśnie w dziedzinie uświadomienia gospodarczego przeciętnego „człowieka ulicy" stoją przed prasą polską zadania większe, niż gdziekolwiekindziej i że te zadania nie mogą być spełnione bez udziału prasy codziennej. Cytowano mi kiedyś fakt, iż jakoby każde dziecko w Holandji zna datę wynalazku, który odegrał doniosłą rolę w historji gospodarczej tego kraju:.... wynalazku solenia śledzi. Obawiam się, że nawet czołowe organy prasy codziennej nie wykorzystały wszystkich możliwości, stojących przed niemi na polu spopularyzowania bardziej podstawowych, aktualnych i elementarnych wiadomości o gospodarce Polski współczesnej. Wydaje mi się, że zadaniem, które staje obecnie przed temi organami prasowemi, które w dotychczasowej swej pracy wykazały wiele szlachetnej ambicji, jest zadanie uzupełnienia ubogiego kapitału wiadomości gospodarczych naszego społeczeństwa nietylko w płaszczyźnie polskich i zagranicznych aktualjów gospodarczych, ale i w płaszczyźnie bardziej podstawowych i na „długiej fali" donioślejszych informacyj.

Powyższe dotyczy oczywiście tylko pewnego grona dzienników. W stosunku do pozostałych niestety zmuszony jestem, ograniczyć się do postulatów skromniejszych, a właściwie do jednego zupełnie skromnego postulatu. Chodzi mi — mówiąc najostrożniej — o oględność w informowaniu. Np. czy nie lepiej byłoby, gdyby ilustrowany tygodnik, wydawany przez wielki prasowy koncern, zwrócił się do swego referenta gospodarczego przed poinformowaniem czytelników, że: „wielki sowiecki kołchoz „Gigant" zajmuje 140.000 t. zn. tyle, co pół Polski". Pomijam, że „Gigant" nie jest kołchozem, tylko sowchozem, że nie może on zajmować „140.000", tylko albo 140.000 ha, albo 140.000 m², albo tyleż km². Ważniejsze jest to, że powierzchnia Polski nie wynosi ani 280.000 ha, ani m², ani km². Tego rodzaju poślizgnięcia nasuwają ultrapesymistyczny postulat w stosunku do niektórych organów prasowych: ażeby może wogóle przestały zajmować się sprawami gospodarczemi.

c. b.

Taniej niż za cenę biletu

II-ej klasy

możemy podróżować samolotami P. L. L. „LOT"

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

ILOŚĆ CZY JAKOŚĆ?

Z problemem ilościowego wzrostu ludności łączy się szereg zagadnień ogólnych, których wzajemne oddziaływanie stwarza podłoże dla problemu demograficznego.

Zagadnienia demograficzne są w swej istocie zarówno problemami ekonomicznemi, co socjalnemi, a nawet wydają się jeszcze bardziej skomplikowane. Zwrócił słusznie na to uwagę p. Z. Szempliński, którego artykuł „Rosnąć i trwać!", zamieszczony w Nr. 22 „Gospodarki Narodowej" z 1933 r., miał na celu uwypuklić wszechstronne znaczenie wspomnianych zagadnień. Wchodzą tu w grę kwestje tak specjalne, a tak doniosłe, jak rozwój państwa i narodu, chodzi tu o podział bogactwa społecznego, o zadośćuczynienie potrzebom ludzkim, o „prawa jednostki do życia i szczęścia" (które p. Sz. niewiadomo dlaczego bezapelacyjnie przekreśla).

Problem jest zatem skomplikowany, a że zahacza o najistotniejsze kwestje z dziedziny polityki gospodarczej, musi żywo obchodzić ekonomistę. Obawiać się jednak należy, że po przeczytaniu cyt. artykułu ekonomista nie będzie au courant istoty problemu, albowiem artykuł ten w sposób zbytnio uproszczony rozwiązał „zagadnienie rozrostu liczebnego ludności polskiej".

Jeżeli p. Szempliński (a nie jest on wyjątkiem) żyje pod sugestją liczby, utożsamionej z maksymalnym przyrostem ludności, to będzie słuszne przytoczyć również kilka liczb, które więcej wyjaśniają, niż — propagują. Ludność Europy do końca XVIII w. utrzymywała się w zasadzie na niezmienionym niemal poziomie: tak np. ludność Wielkiej Brytanji w ciągu XVII-go stulecia podniosła się z 5 do 6 miljonów i był to przyrost, jak na owe czasy, b. duży. Ta sama W. Brytanja w XIX wieku — stuleciu szalonego rozwoju techniki i ekspansji kolonjalnej zarazem — potraja swoją liczebność: z 13 do 40 miljonów. Inne, mniej uprzemysłowione kraje, ustępują Anglikom, dzięki czemu ludność całej Europy wzrasta w tym czasie „tylko" o 200 miljonów i dosięga 400 miljonów, które w 1933 r. — pomimo spustoszeń wojennych — przekształcają się na ½ miljarda.

O ile w średniowieczu i na początku epoki nowożytnej choroby, epidemje i wojny dziesiątkowały ludność, nie pozwalając na żywszy jej przyrost, o tyle industrjalizacja Europy, zapoczątkowana pod koniec XVIII w., pomimo krwawych wojen napoleońskich i rewolucyjnych, zdublowała w ciągu 100 lat ilość zamieszkujących stary kontynent mieszkańców i pozwoliła zaludnić emigrantami niezmierzone obszary Ameryki i Australji. Przeciwstawienie sobie epidemij i uprzemysłowienia wydać się może śmieszne: tymczasem chodzi o zilustrowanie różnicy pomiędzy przyczyną, akcentującą śmiertelność, a zjawiskiem, oddziaływującem na zahamowanie tejże śmiertelności. Z industrjalizacją i urbanizacją idzie w parze higjena społeczna i wzrost dobrobytu mas, dzięki czemu względnie niższemu współczynnikowi urodzin towarzyszył bezwzględnie niższy współczynnik zgonów. Wynik — podwojenie ludności europejskiej.

Aliści tej „prosperity" ludnościowej nadszedł wreszcie kres. Poniżej 10 pro mille śmiertelność nie schodzi w najbogatszych i najzdrowszych krajach Europy. Jednocześnie spada pro mille urodzin, będące wynikiem stopy urodzeń (ilości dzieci żywo urodzonych) i wieku zawierania małżeństw. Stąd bicie na alarm: i w „starej, zgrzybiałej" Francji i młodzieńczej Italji i w hitlerowskich Niemczech i w otoczonej nieprzyjaciółmi Polsce.

Dlaczego przyrost ludności maleje w Europie w tempie stosunkowo[1]) dość znacznem? Bez pretensji do wyczerpania tematu, wymienię nast. przyczyny: Terenów do pracy i ekspansji nietylko w Europie, lecz na całym świecie, jest coraz mniej, mimo, że dla nowoczesnej techniki nie powinno być przeszkodą, że jakieś tam pustynie są dzisiaj niezamieszkałe; niema już teraz co podbijać i kolonizować, odpada więc dodatkowy popyt na nowe ręce robocze. Stopa życiowa czy stopa użycia podniosła się wszędzie dość znacznie, co w związku z pierwszem zjawiskiem, równającem się zgęszczeniu ludności na dotychczasowem terytorjum, przyczyniło się do trudności utrzymania większej rodziny, zwłaszcza w warstwach wyższych. Wspomniany spadek śmiertelności wyręczył niejako wzmożoną produkcję nowych pokoleń, działając na psychikę człowieka dosyć wyraźnemi argumentami. Specjalną rolę odgrywa w omawianym procesie urbanizacja, ponieważ rozwój miast, zwłaszcza wielkich centrów, rozbudza intelekt kosztem uczucia, osłabia życie rodzinne, sankcje religijne, tradycję i t. p. i czyni przyszłość jednostek mniej pewną, niż życie wiejskie o małych odchyleniach od zasadniczego pionu. Nie od rzeczy wypada tu wspomnieć o politycznej sytuacji Europy po wielkiej wojnie: wspomnienia tej ostatniej i perspektywy następnej sprawiają, że element obawy i niepewności nietylko zaczyna regulować dyspozycje gospodarcze, lecz również wkracza w obręb spraw czysto osobistych. Usamodzielnienie kobiet, proces tak dobrze ekonomiczny, jak i psychiczny, działa podobnie. Wreszcie — i to wydaje się bądź nielogiczne, bądź paradoksalne — pauperyzacja Europy wskutek wieloletniego kryzysu powoduje silne ograniczenie liczby urodzin.

[1]) Mówimy: stosunkowo — gdyż bezpośrednio po wojnie przyrost ze zrozumiałych przyczyn był b. duży, a przypuszczano jeszcze, że jest on za mały, by powetować miljonowe straty wojenne.

Reasumując, stwierdzamy, że od wielkiej wojny działają w Europie zjawiska, nieznane lub wręcz odwrotne od zjawisk, dominujących w okresie 1815 — 1914 r. Splot tych zjawisk, z których każde ma wielką wymowę, mówi sam przez się.

Czy jednak wobec faktu, że statystyka wykazuje stały i niemal równomierny spadek przyrostu naturalnego krajów europejskich, wszystko jedno, czy to są kraje słowiańskie, germańskie czy łacińskie, można wyciągnąć wnioski, że siła każdego narodu mieści się w jego liczebności, a raczej — w jego odpowiednio wielkim przyroście naturalnym? Przed wyciągnięciem takiego wniosku pozwoliłbym sobie zwrócić uwagę na jeden mały przykład: Hiszpanję. Kraj ten dowiódł, że upadek wielkości narodu zawdzięcza się nie ograniczeniu przyrostu naturalnego, który tam był i jest zawsze b. silny (rezultat tradycji, wpływu Kościoła i agrarno-chłopskiego charakteru ludności), lecz brakowi wybitnych ludzi i nadmiernej ekspansji w Ameryce, która zabrała Hiszpanji jednostki najbardziej energiczne, przedsiębiorcze i t. p. W spadku przyrostu naturalnego nie należy widzieć *przyczyny* ewolucji państw i narodów, lecz tylko jeden z wielu jej *skutków*.

I jeszcze na jedno należy zwrócić uwagę: spadek płodności dotyczy niemal jedynie miasta, a w mieście głównie klas intelektualnie i ekonomicznie wyższych. Warstwy te zawsze i wszędzie wymierały szybko dzięki ograniczonej płodności, a ratowały się przed zagładą dopływem świeżych elementów z warstw niższych. Czy proces ten jest dodatni czy ujemny — trudno przesądzić, bo z jednej strony dzięki dopływowi nowych sił elity kierownicze nie degenerują się, lecz zato z drugiej — zbyt gwałtowny proces przechodzenia z warstw niżych do wyższych działa, jak emigracja, pozbawiając warstwy niższe rezerwuaru najlepszych zasobów sił. Może to być szczególniej niekorzystne w Polsce, której minusem jest stałe przeskakiwanie szczebli średnich, drobno- i średniomieszczańskich i przechodzenie od robotnika czy chłopa odrazu do t. zw. inteligencji. Ale ponieważ ta ostatnia (szacuje się ją na mniej więcej 2 miljony głów) stanowi stosunkowo dość grubą warstwę, nie można w osłabieniu jej rozrodczości dopatrywać się niebezpieczeństwa dla narodu i państwa. Śmiem twierdzić, że w porównaniu z innemi narodami, mamy za dużo t. zw. inteligentów, a za mało mieszczan i zamożniejszych włościan. Nie podzielam przeto obaw p. Szemplińskiego (op. cit.), wyrażanych z okazji skasowania w ustawie uposażeniowej dodatków rodzinnych, że nowa ustawa podcina możliwości ustalenia się warstwy urzędniczej" lub, „komu zostanie przekazane dziedzictwo ideowe, zrodzone z walk i trosk o nowe Państwo". Primo — charakter całej warstwy urzędniczej jest daleki od tego, jaki jej nakreślił p. Sz., gdyż elementy, o których on mówi, stanowią z natury rzeczy b. poważną mniejszość; secundo — nie można i nie należy pojęcia inteligencji ścieśniać do grupy urzędników państwowych, lecz trzeba pamiętać jeszcze o urzędnikach komunalnych, społecznych i prywatnych, a także o samodzielnych właścicielach warsztatów, wśród których Polacy są w mniejszości, niema więc powodu zamykania warstwom niższym przejścia do warstw wyższych, rozumianych jak najszerzej; tertio — przerost[1]) warstwy urzędniczej jest w Polsce za duży kosztem warstw średnich i kosztem scementowania życia społecznego i gospodarczego. Braki ustawy uposażeniowej leżą nie w płaszczyźnie „dodatków rodzinnych" (20 zł. na dziecko lub żonę miesięcznie miało raczej charakter symbolu), lecz w zwiększeniu rozpiętości pomiędzy niższemi i średniemi płacami a wyższemi, chociaż kto wie, czy w razie poprawy konjunktury ta rozpiętość właśnie nie zdziesiątkuje nadmiernie rozrośniętej grupy niższych urzędników i nie zmusi ich do pracy poza urzędami, w przemyśle i handlu.

Pragnąłbym jeszcze zwrócić uwagę na pewien szczegół, dosyć mojem zdaniem charakterystyczny i ważny. Spadek przyrostu naturalnego w Polsce odbywa się niemal wyłącznie w miastach, natomiast wieś nadal mnoży się po króliczemu. W rezultacie — jak pisze p. Sz. — „około 40% poborowych nie nadaje się do służby wojskowej z powodu chorób i słabej budowy". Nawet, gdyby przyjąć, że wszyscy mieszkańcy miast (których ludność stanowi około 30% ogółu mieszkańców) nie nadają się na żołnierzy (zobaczymy dalej, że jest to nieprawda), to się okaże, iż 1/7 mieszkańców wsi również musi odpaść przy poborze. Faktycznie odsetek nie nadającej się do służby wojskowej ludności wiejskiej jest daleko większy, a co ważniejsza — praktyka wykazała, że chłop stanowi gorszy od proletarjatu miejskiego element żołnierski; ani nie wytrzymuje tak dobrze, jak robociarz, nawet zabiedzony, złych warunków materjalnych, ani nie może sprostać trudnym zadaniom moralnym i intelektualnym, wysuwanym przez nowoczesną metodę wojny. Zarazem — i fakty są tego potwierdzeniem — mniej płodny element miejski dostarcza Państwu daleko więcej tych sił żywotnych, których Państwo potrzebuje w swej ekspansji i rozwoju. Gdyby dzięki zmniejszeniu podaży rąk roboczych i zarazem dzięki parcelacji stosunki wiejskie mogły ulec poprawie, to jakość materjału włościańskiego, rozpatrywana od strony obywatelsko-wojskowej, poszłaby niewątpliwie w górę. Równałoby się to jednocześnie — a tego momentu p. Sz. zdaje się nie doceniać — ograniczeniu przyrostu naturalnego, albowiem poprawa sytuacji materjalnej, sprzyjając zmniejszeniu śmiertelności, sprzyja również spadkowi liczby urodzeń.

Na zakończenie — mała uwaga. Pobudka dania własnym dzieciom korzystniejszej podstawy do rozpoczęcia walki życiowej, a tem samem — zmniejszenia ilości dzieci w rodzinie, jest pobudką naturalną. Są tacy, którzy właśnie w tym fakcie

---

[1]) 32% ogółu dochodów pracowników w Polsce (po wyeliminowaniu robotników rolnych) przypada na urzędników i robotników państwowych, państwo zatrudnia 26% ogółu urzędników i robotników w Polsce (zob. L. Landau „Płace w Polsce w związku z rozwojem gospodarczym").

widzą poważne niebezpieczeństwo dla ekspansji, przedsiębiorczości, dzielności etc. narodów i państw. Mówią oni, że stwarzanie dzieciom łatwiejszych warunków nie eliminuje — jak to miało miejsce w naturalnej selekcji — jednostek słabszych. Można na to odpowiedzieć, że: 1° stosunkowo małodzietne warstwy wyższe przez czas dłuższy są niewyczerpanem źródłem owej ekspansji i przedsiębiorczości (vide anglosasi); 2° bogata w dzieci warstwa chłopska jest uboga w jednostki kierownicze, których potrzebuje każdy naród; 3° cechą współczesności jest m. in. niechęć pozostawiania i ludzi i instytucyj naturalnej, darwinowskiej walce o byt i zastępowanie jej ochroną pewnego minimum (ubezpieczenia socjalne, kartele, ochrona dłużnika, ceny maksy- i minimalne etc.). Nawet faszyzm i hitleryzm, które nie uznają humanitaryzmu, jako motywu ochrony praw człowieka do życia i dobrobytu, które przekreślają — jak się wyraża p. Sz. — prawa jednostki do życia i szczęścia, które głoszą kult heroizmu, — nawet one idą drogą *mechanicznej, regulowanej czy planowej* selekcji, nie godząc się na selekcję *naturalną*. Jeżeli włoskie państwo rodziny, posiadające dużą ilość dzieci, otacza nieznaną w Polsce opieką (zwolnienie od podatków komunalnych, podatku mieszkaniowego i in., ulgi w podatku dochodowych, czynszach mieszkalnych, opłatach szkolnych etc.), jeżeli w tychże Włoszech opieka państwowa nie rozróżnia dzieci ślubnych od nieślubnych[1]), jeżeli opieka nad matką i dzieckiem jest szeroko rozbudowana (tysiące stacyj, setki samochodów sanitarnych, objeżdżających prowincję) — to znaczy, że demograficzna polityka Włoch faszystowskich akcentuje nie ilość, lecz — *jakość*. A przyrost naturalny we Włoszech mimo to spada tak, jak i w tych krajach, które nie mogą *słów* o potrzebie dużego przyrost poprzeć *czynem* pomocy i *wzajemności państwa wobec obywatela.*

W wyniku tego, co napisałem, ogarnął mnie sceptycyzm. Sceptycyzm pod adresem haseł populacyjnych („crescite et multiplicamini!"). Boję się, że kraje Europy pozostaną głuche na nawoływania, w których brzmieć będą słowa: rosnąć i trwać! Słowo: rosnąć! sprzeczne jest z sytuacją społeczną, gospodarczą i — co jest bodaj najważniejsze — psychiczną i nie liczy się ze skomplikowaniem wiążących się z niem zjawisk; słowo: trwać!, zastosowane do pewnej warstwy, sprzeciwia się odświeżaniu starych elementów przez młode. I sądzę, że rozwiązanie przyszłości własnego narodu nie leży na drodze ilościowej, na drodze mnożenia się „ad libitum": kształcenie *charakteru i ducha narodowego* iść będzie zgoła innemi drogami. Już to samo, że jesteśmy w Europie jedni z najuboższych, a mimo to chcemy grać w niej rolę, jaką nam wyznacza geografja i historja (nie mówiąc o naszych własnych potrzebach), mówi, gdzie leżą te drogi.

———

[1]) „Opera Nazionale dell' Infanzia" wyznacza subsydja dla matek dzieci nieślubnych. „Naturalnie w tych warunkach niema mowy o przerywaniu ciąży" — konkluduje korespondentka „Gazety Polskiej" (z dn. 10.XII.1933 r.).

NOTATKI

TAKŻE JUBILEUSZ.

Spotkałem się niedawno w prasie ze wzmianką kronikarską o obchodzie jubileuszowym... dwulecia istnienia Giełdy Mięsnej w Warszawie. Rewji (bydłobójców) nie urządzono, medalu pamiątkowego nie wybito, więc ostatecznie wszystko w porządku.

Pozazdrościło Giełdzie miasto Piaseczno, taka podwarszawska dziura. Ale ambitna!... Okazuje się, w roku bieżącym przypada akurat 200 czy 300 lat (mniejsza ile, wiem tylko, że dużo) od chwili założenia miasta Piaseczna. A zatem jubileusz, uroczystość, pamiątka. Ajakże, jest i pamiątka: wspaniałe, ozdobne, pomnikowe wydawnictwo. Cena 80 zł. za pięknie oprawny tom. Przeczytasz w nim, zacny mieszczuchu piaseczyński, jak to, panie dobrodzieju, twoje sławne miasto powstawało, żyło i... zaciągało długi, przekraczające jego wieloletnią zdolność płatniczą. Ale album jest.

Przypomina się anegdotka: „Dokąd się wybieracie?" — „Na jubileusz". — „Na jaki znowu jubileusz?". — „Dzisiaj jest dziesięcioletnia rocznica paraliżu naszego wujaszka".

Biedny, sparaliżowany budżecie miasta Piaseczna! Masz szczęście: nie zapomniano o tobie.

k. b.

POŻYTECZNE ULGI.

Nowelizacja ustawy o spółdzielniach jest już przesądzona i ruch spółdzielczy będzie się musiał pogodzić z zalegalizowaniem ingerencji Państwa do wewnętrznych spraw kooperacji. Pogodzenie to przyjdzie tem łatwiej, im większą opieką otoczy Państwo spółdzielnie, które tej pomocy istotnie potrzebują.

W wykonaniu znowelizowanej ustawy spadnie na Państwo obowiązek podtrzymania spółdzielczości tam, gdzie sama nie da sobie rady, a jej trwanie będzie uznane za szczególnie ważne ze względów ogólno-społecznych i ogólno-gospodarczych. Nie wyobrażamy sobie np., by rozpoczęta niedawno kampanja pod hasłem: „Twarzą do małego człowieka" mogła się obyć bez stworzenia organizacyj drobnych producentów wiejskich i miejskich. Spółdzielnie rolniczo-handlowe, rolniczo-wytwórcze, rzemieślnicze itp. powinny na tem tle uzyskać (lub — jak kto woli — odzyskać) dominujące stanowisko.

Nie będzie to łatwem zadaniem. Kryzys i własne niedomagania zbyt wielkie poczyniły w spółdzielczości szczerby i wyrwy, aby je szybko można było zalepić i zasypać. Odzyskanie utraconego zaufania i pewności wymaga długotrwałego wysił-

ku, którego powolność mogłaby przekreślić oczekiwane i pożądane korzyści. Pozostawienie sprawy regeneracji spółdzielczości wytwórców samemu automatyzmowi procesów gospodarczych nie wydaje się słuszne. Należałoby zatem podeprzeć spółdzielczość w jej dążeniach do istotnego uzdrowienia swej gospodarki i do stanięcia mocno na nogach.

Sposobów na to jest wiele i niewątpliwie Rada Spółdzielcza opracuje plan szczegółowy i wyczerpujący. Ze swej strony proponujemy zastosowanie względem najbardziej dzisiaj potrzebnych spółdzielni drobnych wytwórców szeregu ulg podatkowych, opartych w swej istocie na ulgach, z jakich korzystają nowe budowle, trójkąt bezpieczeństwa, Gdynia i t. p. W szczególności uważalibyśmy za pożyteczne potrącanie od sumy podlegającego opodatkowaniu dochodu kwot, wpłaconych rzeczywiście na udziały w oznaczonych przez Państwo spółdzielniach.

z. i.

OBNIŻYĆ TARYFY TELEFONICZNE.

Na ekranach warszawskich kinematografów ukazuje się dzień w dzień ogłoszenie, zachęcające do założenia telefonu, którego eksploatacja kosztuje bagatelne 73 grosze dziennie, czyli — o czem ekran milczy — 22 złote miesięcznie lub 264 złote rocznie. Innemi słowy telefon pochłania tyle w stosunku rocznym, ile wynosi jedna, a w najlepszym razie połowa pensji miesięcznej przeciętnie zarabiającego inteligenta, a więc tej kategorji obywateli, którzy w zasadzie nie powinni obywać się bez aparatu, będącego artykułem pierwszej potrzeby i jednym ze wskaźników t. zw. kultury.

Dla Polski wskaźnik ten wypada zgoła nieciekawie i bardzo niekorzystnie. Statystyka międzynarodowa (zob. „Wiadomości Statystyczne" Nr. 34 ex 1933) umieszcza nas — nie ze swojej winy — gdzieś na szarym końcu, w pobliżu Albanji, Bułgarji, Turcji i Rosji Sowieckiej. W 1931 r. na 1.000 mieszkańców przypadało w Polsce 6 aparatów i 5 abonentów (tych ostatnich liczono 145 tysięcy). Jasne jest, że wskaźniki duńskie (102 i 83), szwedzkie (89 i 73) lub szwarjarskie (80 i 56) są dla nas nie do osiągnięcia; gorzej jednak, że wyprzedzają nas takie Węgry (13 i 10), Czechosłowacja (10 i 8), Irlandja (10 i 7), a nawet mała Litwa (7 i 6). Co dziwniejsza, telefony nasze są więcej, niż gdzieindziej, wykorzystywane: ta sama statystyka podaje, że pod względem ilości rozmów telefonicznych Polska znajduje się w pobliżu Belgji, Francji, Holandji, Italji i Szwecji. Czyżby dowodziło to naszego nadmiernego gadulstwa? Hamulec na gadulstwo, nałożony w postaci liczników, przeczyłby temu.

Korzystanie z telefonu dostępne jest nadal dla drobnego odsetka ludności. Jego rozpowszechnieniu stoi na przeszkodzie cena, nie dopasowana do naszych powszechnych możliwości finansowych, a niezmieniona od kilku lat, najbardziej sztywna ze wszystkich cen nieelastycznych. Wygórowana opłata telefoniczna jest zkolei rezultatem szeregu przyczyn, z których przedewszystkiem należy wymienić monopolistyczne stanowisko uprzywilejowanej koncesyjnie t. zw. Pasty i jej naprawdę doskonałą sytuację finansową. Nie popadniemy w przesadę, twierdząc, iż Pasta jest w Polsce najlepszem przedsiębiorstwem, albowiem posiada doskonały układ bilansu, a zyski operacyjne w ciągu ostatnich 3 lat wynosiły odpowiednio: 17, 13 i 12% jej kapitału zakładowego (tyleż wyniosła dywidenda).

Chciałoby się powiedzieć: na zdrowie! lub: daj, Boże, każdemu taką rentowność! Jedno nas tylko zastanawia: wpływy z opłat abonamentowych obniżyły się w 1932 r. w porównaniu z 1931 r. o kilka, a wpływy za nowe aparaty (przyłączenia) nawet o kilkadziesiąt procent. Utrzymanie rentowności na niezmienionym poziomie przedsiębiorstwo zawdzięcza tylko spadkowi korony szwedzkiej, na którą opiewają jego zobowiązania długoterminowe. Ale w takim razie przed naczelnem przedsiębiorstwem telefonicznem w Polsce staje dzisiaj zagadnienie palące i pilne: obniżyć taryfy! W kompromitujących naszą kulturę wskaźnikach międzynarodowych, które wszakże w dwuch latach ostatnich jeszcze dalszemu uległy pogorszeniu, widzimy dostateczne — w naszem pojęciu — argumenty za realizacją powyższego hasła.

k. b.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". CZESŁAW BOBROWSKI

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogródzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.

Już ukazał się specjalny numer miesięcznika „DROGA"

POŚWIĘCONY NORWIDOWI

TREŚĆ:

Cyprjan Norwid: Dwa listy do Michaliny Dziekońskiej o sztuce; „Miłość czysta u kąpieli morskich", komedja. Z rękopisu wydał i przypisami opatrzył Miriam. — *Kazimierz Kosiński:* Cyprjana Norwida „sen Prometowy". — *Stefan Flukowski:* Ocean. — *Stanisław Ryszard Dobrowolski:* Do Poety. — *Stefan Kołaczkowski:* Ironja Norwida. — *Juljan Przyboś:* Król. Huta — Wisła. — *Roman Kołoniecki:* Mit Rzeczy Czarnoleskiej. — *Józef Czechowicz:* Nuta na dzwony. — *Wilam Horzyca:* Rodowód Norwida. — *Władysław Arcimowicz:* Norwidowe „...obiit... hic natus est...". — *Kazimierz Wyka:* Starość Norwida. — *Kazimierz Jaworski:* Rycerz z orszaku Pana i spękane serce dzwonu. — *K. W. Zawodziński:* Odkrywająca i zakrywająca norwidologja. — *Manfred Kridl:* O lirykach Norwida. — *Tadeusz Makowiecki:* Stygmat ruin w twórczości Norwida. — *Zbigniew Polanowski:* Norwida „portret ogólny". — *Tymon Terlecki:* Tryptyk tragiczny. — *Mieczysław Giergielewicz:* O „Kleopatrze" i „Assuncie".

Numer zawiera 230 stron druku. **Cena zł. 5.—**

Do nabycia w Administracji „DROGI" (Warszawa, Chmielna 33 m. 5.) oraz w księgarniach.